

Muzyczna opowieść o sekcie i jej wodzu

PREMIERA

Wstrząsający temat zbiorowego samobójstwa na tle religijnym nie w pełni wykorzystany przez reżysera, czyli „Guru” w Szczecinie.

Działalność religijnej sekty to temat ryzykowny dla opery. Francuski kompozytor Laurent Petitgirard oraz autor tekstu Xavier Maurel jednak zaryzykowali. Za punkt wyjścia posłużyło im wydarzenie, które rozegrało się 40 lat temu w Gujanie. Ponad 900 osób, członków tzw. Świątyni Ludu popełniło wówczas – do końca nie wiadomo, czy w pełni dobrowolnie – samobójstwo.

Francuscy twórcy nie dokonali faktograficznej rekonstrukcji zdarzeń. Ich opera „Guru” jest rodzajem studium zbiorowego zaczadzenia nie tyle religią co ideologią. Pokazali, jak całe społeczności potrafią ulec cynikowi, szaleńcowi lub fanatykowi, bo tytułowy bohater tej opery jest każdym z nich po trochu.

Zaryzykowała też szczecińska Opera na Zamku, decydując się na światową prapremierę „Guru”. Teatr leżący z dala od metropolii operowych i ciągle jeszcze nie dość doceniany w naszym kraju, musi przecież uwzględniać gusty swej publiczności.

Na scenie mieszczącej się w Zamku Książąt Pomorskich wystawia się więc klasyczne opery, szczególnie lubiane przez widzów klasyczne operetki i oczywiście także balety. Prapremiery całkiem nowego dzieła operowego nie było tu jednak od bardzo dawna.

Wystawienie „Guru” wiązało się z ryzykiem. Z niezbyt może wielkim jednak, bo też utwór Laurenta Petitgirarda ma sporo zalet. Drastycznie realistyczny temat został wzbogacony poetyckim uogólnieniem zgodnie z regułami operowej sztuki. Dramaturgia zdarzeń stopniowo zagęszcza się, a główni bohaterowie mimo pewnej swej hieratyczności zostali wyraziście nakreśleni.

Również muzycznie „Guru” może zaciekawiać widza, jeśli jest on choć odrobinę otwarty na nowe pomysły. Laurent Petitgirard pozostaje bowiem wierny klasycznym regułom, w swojej operze unika brzmie-

niowych i wokalnych eksperymentów, panuje raczej klimat muzyki filmowej spod znaku „noir”. To dobra propozycja dla widza o dość tradycyjnych gustach, który chce pochwalić się kontaktem ze sztuką współczesną.

Reżyserię Szczecin powierzył Brytyjczykowi Damianowi Crudenowi. Twórca o dużym dorobku teatralnym chyba jednak przestraszył się opery, w której zadebiutował, i nie wykorzystał potencjału tkwiącego w „Guru”. Stworzył spektakl zbyt statyczny, niemal na jednej nucie emocjonalnej, co musiało razić, zwłaszcza gdy zdarzenia zaczęły zmierzać ku tragicznemu finałowi. Zabrakło przede wszystkim choćby próby oddania narastania owego zbiorowego szaleństwa, które spowodowało, że kilkaset osób zapatrzonych w swojego niby

„Guru” to studium zbiorowego zaczadzenia nie tyle religią, ile ideologią

duchowego przewodnika zdecydowało się na śmierć. Tym dramatycznym, końcowym scenom reżyser nadal niemal oratoryjny, statyczny charakter.

Operę starali się zatem ożywić wykonawcy i trzeba przyznać, że w znacznej części im się to udało, zwłaszcza Holendrowi Hubertowi Claesensowi (tytułowy bohater), Francuzowi Paulowi Gauglerowi, w roli finansowego menedżera przywódcy sekty, a przede wszystkim Bożenie Bujnickiej, która stworzyła przejmującą postać Iris, odtrąconej kochanki guru i matki jego dziecka.

Muzycznie tę inscenizację przygotował sam kompozytor. Potem dyrygowanie spektakli przejmie Jerzy Wołosz, bo sądząc po owacjach premierowej publiczności, „Guru” może liczyć na powodzenie u widzów. ©

—Jacek Marczyński